



Gen K

Lupa to nie był. Był Bubień - o "Braciach K." w reż. Andrzeja Bubienia w Teatrze Miejskim w Gdyni pisze Anna Bielecka z Nowej siły krytycznej.

Teatr Miejski w Gdyni lubi kusić widza bliskością repertuaru. Każdy spektakl, który wyprodukują, jest ponadczasowy i widz ma szansę odnaleźć w nim cząstkę siebie. Ładnie brzmiący slogan reklamowy nie zawsze się sprawdza, ale jest na tyle chwytliwy, by tą cenzurką opatentować każde przedstawienie. "Braci K." także. Już w progu teatru wita mnie lawina ulotek z dumnie wytłuszczoną sekwencją, że będzie to "ponadczasowa historia o każdym z nas". Czytam ze zgrozą i już wiem, że nie zobaczę tam ani grama siebie. I jak się łatwo domyśleć, nie zobaczyłam. Zobaczyłam za to dobry, wartościowy spektakl.

Nie czas i miejsce ku temu, by rozprawiać nad kłopotami inscenizatorów, którzy biorą na warsztat prozę. Nie ma żadnych wątpliwości, że tekst epicki musi zostać poddany redukcji, bo przełożyć go na scenę w całości niepodobna. A jeśli to jest proza rosyjskiego giganta Fiodora Dostojewskiego, cięcia muszą być rzeczywiście spore. Kwestia tylko, w którą stronę one pójdą i ile Dostojewskiego zostanie w Dostojewskim. Andrzej Bubień postawił na największe ludzkie namiętności - miłość i nienawiść, które rodzą się już w łonie matki i determinują całe życie. To geny. A w przypadku braci Karamazow tylko jeden - gen zła i rozpusty, gen lubieżności, skąpstwa i opętania, gen K.

Na scenie rodzi się już w pierwszej odsłonie, gdy najmłodszy z braci Alosza (Dariusz Majchrzak) niczym embrion powoli powstaje z beznamiętnej czarnej pustki, w takt słów samego diabła, który strąca miłość z piedestału wartości. Gdy jej nie będzie, nie będzie także wiary w nieśmiertelność duszy, a wówczas wszystko stanie się dozwolone, nawet ludożerstwo. Ten gen zaszczepił także w starszych braciach, Dymitrze (Dariusz Siastacz) i Iwanie (Rafał Kowal), ich ojciec. Choć nie pojawia się na scenie ani razu, jego piętno ciąży nad całą rodziną i niczym diabelski duch unosi się nad ich domem z nonszalanckim uśmieszkiem. Bo wie, że wszyscy trzej stoją na tej samej drabinie. Każdy wprawdzie na innym szczeblu, na innym stopniu wtajemniczenia, ale przecież wszyscy konsekwentnie wdrapują się na sam szczyt, wcielając w życie zbrodniczą ideę zabicia Fiodora Pawłowicza. A diabeł im wszystkim przyklaskuje.

Dlatego wystarczy jeden aktor w roli tajemniczego demona. Elżbieta Mrozińska będzie Rakitinem dla Aloszy, Smierdiakowem dla Iwana i prawdziwym diabłem dla Dymitra. Tylko ten ostatni wkroczy na scenę z jawnymi dowodami zbrodni, z zakrwawionymi rękoma i czerwonymi śladami ojcowskiej męki na białej marynarce. Po co miał zabijać? Dla szaleńczej miłości, niepohamowanej zazdrości i chorej namiętności, której na imię było Gruszeńka. Bo w tym świecie

gen K działa jak zakaźna choroba przenoszona drogą każdego kontaktu. Znow więc Lizę, Gruszeńkę i Katarzynę Iwanownę może grać jedna aktorka. Sylwia Gliwa zacie znosi ciężar tej potrójnej kreacji. Z garbatej Lizy z bezwładnymi nogami, która pragnie miłosnego udręczenia przemieni się w rozhisteryzowaną Gruszeńkę, a z niej w pełną wdzięku i szczęśliwie świadomą własnego upokorzenia Katarzynę.

Aktorstwo to w ogóle wielki atut tego spektaklu. Na czarnej scenie, gdzie jedynymi rekwizytami są krzesła, stół, kilkaset świeczek i trochę mniej maleńkich krzyżyków cały ciężar spada na aktorów. Każdy ruch, gest, przejście musi być uzasadnione podwójnie. I zazwyczaj jest. Siastacz w swym nieokrzesaniu oddaje się namiętnościom, by poczuć w końcu smak zbrodni i poniżenia; Kowal z całym przekonaniem buntuje się swym euklidesowym umysłem przeciw porządkowi tego świata, by zadać w końcu poszukującemu i wątpiącemu Majchrzakowi fundamentalne pytanie: "Czy jest Bóg i nieśmiertelność". Rozprawiać będą przy herbacie, galaretce z wiśniami i bitej śmietanie, a stół, który stanie się dla nich placem intelektualnego boju, będzie za chwilę cmentarzem krzyży i ich cieni przedzierających się przez rzęsiste światło świec. Ten cmentarz ustawi sam Smierdiakow, powoli i konsekwentnie, tak, że obejmie swoim zasięgiem całą płaszczyznę blatu. Jak gen K, który raz zaszczepiony w ludzkim sercu i umyśle, wydaje owoc obfity.

Jest jeszcze jeden element, który scala to psychologiczne studium jednostek tak różnych i tak podobnych. To muzyka Piotra Salabera, która rodzi się wraz z pierwszym karamazowym embrionem cichym głosem rytmicznie wybrzmiewającego dzwonka i rośnie, kierując widza w głąb tego psychologicznego dołu. Będzie dla bohaterów świadkiem, harmonijnym akompaniamentem. Skoczna w tańcu, niespokojna w wewnętrznym rozdarciu, zadziorna w niezgodzie i cicha w niemocy, ale nigdy nie zamilknie w tym absurdalnym świecie. I jak w "Procesie" Kafki połączy bohaterów, bezimiennych K., w krąg przeklętego dziedzictwa.

"Lupa to nie był" - podsłuchałam w kulisach teatru tuż po premierze jakiejś mądrej głowy z tytułami. To na pewno. Był Bubień.

Anna Bielecka
Nowa siła krytyczna
03-12-2006